

Grażyna Bąkiewicz, Kazimierz Szymeczko, Paweł Wakuła

Odzyskana niepodległość

10 opowiadań z XX wieku



Grażyna Bąkiewicz, Kazimierz Szymeczko, Paweł Wakuła

Odzyskana niepodległość

Cykl: Zdarzyło się w Polsce
Część piąta

© by Grażyna Bąkiewicz
© by Kazimierz Szymeczko
© by Paweł Wakuła
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka i ilustracje: Mikołaj Kamler
Pomysłodawca serii: Paweł Wakuła
Korekta: Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie II

ISBN 978-83-7672-534-5

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwoliteratura.pl

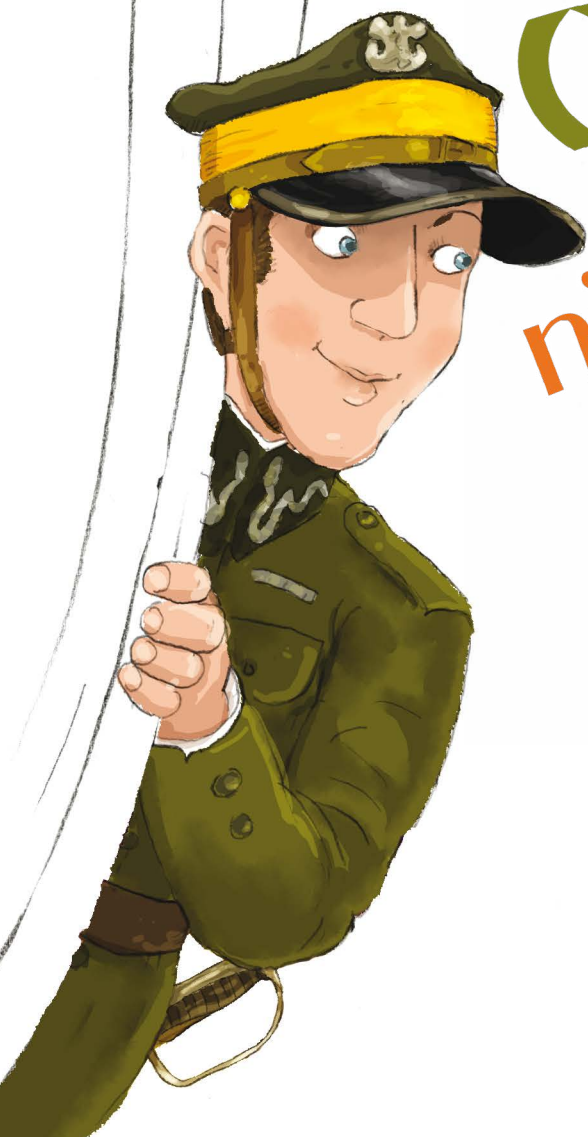
Zdarzyło się w Polsce

Grażyna Bakiewicz, Kazimierz Szymeczko, Paweł Wakuła

Odzyskana niepodległość

10 opowiadań
z XX wieku

ilustrował Mikołaj Kamler





GRAŻYNA BĄKIEWICZ

Czerwony autobus

WOJNA 1920 ROKU I BITWA WARSZAWSKA



Lato, upał. To nasze drugie wakacje w niepodległej Polsce. Całymi dniami wałęsamy się z Mośkiem po mieście, a potem biegniemy nad Wisłę, żeby zmyć z siebie kurz, pot i pozucie winy za psoty, jakich się nieustannie dopuszczamy. Ostatnio wynaleźliśmy sobie kolejną niecną zabawę. Wyczekujemy na przystanku na czerwony piętrowy autobus. Sprowadzono kilkanaście takich z jakiegoś obcego kraju, podobno z Anglii, by zapewnić warszawiakom transport na czas powtarzających się strajków tramwajarzy. Trzeba przyznać, że wyglądają fantastycznie, gdy suną ulicami naszego miasta, i nie ma takiego przechodnia, który by nie zazdrościł pasażerom z górnego pokładu. Czekamy cierpliwie z Mośkiem, aż któryś podjedzie, a potem wcale do niego nie wsiadamy, bo nie mamy kaski na bilety. Dopiero gdy ruszy, wskakujemy na tylne zderzaki, by przejechać się kawałek za friko. Mosiek to mój przyjaciel, chodzimy do jednej klasy i wakacje też spędzamy razem, bo rodzin żadnego z nas nie stać na lotnisko. Ale nie narzekamy, bo

Czerwony autobus

sami potrafimy zapewnić sobie mnóstwo atrakcji. Jest między nami więcej podobieństw niż różnic, a jedyna dostrzegalna jest taka, że mnie większość psot uchodzi na sucho, a Mosiek za każdym razem obrywa od swojego tatki pasem.

– Tatko leje dla zasady, nie ze złości – mówi Mosiek, zakręcając na palcu pejsa. – Chce, żebym wyrósł na porządnego człowieka.

Pewnie lanie dla zasady mniej boli, bo mój przyjaciel nie przejmuje się zbyt i dalej robi to, co mu serce dyktuje. A w jego sercu, podobnie jak w moim, króluje miłość do przygód. W sumie wakacje wpływają nam nieźle i nie byłoby powodów do narzekań, gdyby nie wieści o bolszewikach i zbliżającej się wojnie. Dorośli przeżywają je mocniej niż my, a objawia się to między innymi tym, że moja mama robi zapasy cukru, mąki i soli, a rodzice Mośka pakują dobytek, by być gotowymi do ucieczki z miasta, gdy nadejdzie najgorsze.

– Mówiłem, że Ruskie tak łatwo nie odpuszczą – pomstuje nasz dozorca, potrząsając miotłą. – No i masz, już idą, psubraty! Dopiero dwa lata niepodległości i znów wojna.

Pan Antoni jest dla nas alfą i omegą, jeśli chodzi o politykę. Jak chcemy wiedzieć, co słyhać na froncie, to udajemy się prosto do niego. Rodzice uważają, że ta wiedza niepotrzebna nam do szczęścia, i tu się mylą, bo tylko dzięki wyjaśnieniom pana Antoniego rozumiemy, co się dzieje i z jakiego powodu znowu grozi nam niebezpieczeństwo.

– Niepodległość uzyskaliśmy głównie dzięki temu, że trzech kuzyni się pokłócili – powiedział któregoś razu, a my ze zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że cesarze Rosji, Austrii i Prus byli rodziną.

– A że kłótnia nie popłaca, przekonali się po czasie, gdy wszyscy trzej stracili trony i państwa. I cud z jasnego nieba, że my, Polacy, umieliśmy to wykorzystać. Ale Ruscy ledwo ochłonęli i już ruszyli odzyskiwać zachodnie rubieże, czyli nas – dodał, wygrażając miotłą w stronę wschodu. – A co gorsze, chcą wprowadzić komunizm, taki jak zrobili u siebie. Niedoczekanie!

– A co to ten komunizm? – dopytywaliśmy.

– A to, że wszystko mają wspólne – prychnął z niechęcią.

– Może to dobrze – drapaliśmy się po głowach, myśląc o rowe-rze naszego kolegi Łońka.

– A oddałbyś mi, Mosiek, swoją mykę albo ty, Adam, swoje buty? – spytał, celując w nas końcem swojej miotły.

– No co pan, panie Antoni – oburzyliśmy się. – Co nasze, to nasze, a innym nic do tego.

– No to komunizm by się wam nie spodobał – podsumował ze śmiechem. – A teraz dosyć gadania, bo mam robotę, a wam woda w Wiśle stygnie.

No to poleciliśmy.

Właśnie nadjeżdżał czerwony piętrus. Poczekaliśmy, aż się od-dali, i popędziliśmy za nim. Konduktor, widząc, co zamierzamy, pogroził nam pięścią. Zrezygnowaliśmy więc z jazdy na zderzaku, ale i tak pobiegliśmy za nim. On od przystanku do przystanku, my na skrót przez podwórka. Gdy dojeżdżał do kolejnego postoju, już tam byliśmy i machaliśmy do konduktora. I tak aż do Wisły. Pewnie, że wolelibyśmy jechać na górnym pokładzie i patrzeć na wszystko z wysoka, ale ściganie się z nim też sprawiało nam niezłą frajdę.

Czerwony autobus

– I co tam na froncie, panie Antoni? – pytaliśmy kolejnego dnia.

Za każdym razem dostawaliśmy szczegółowe informacje. Wieści raz były dobre, raz złe, ale nam wszystkie wydawały się atrakcyjne, bo lubiliśmy słuchać o zmieniającej się sytuacji.

– Atak armii bolszewickiej idzie w trzech kierunkach – mówił pan Antoni, rysując linie miotłą na piasku. – Najsilniejszy wprost na Warszawę i dwa skrzydła, jedno spod Dębłina, a drugie spod Płocka, mające okrążyć Warszawę.

– Ojej! – wyrażaliśmy okrzykami swoje obawy. – Ocalejemy, czy nas pobiją?

– Nie ma się co martwić na zapas – pocieszał nas. – Będzie dobrze, chłopaszki! A póki co biegnijcie nad Wisłę, bo gorąco, a kąpiel to najlepsza rzecz na zmartwienia.

Miał rację. A że nadjeżdżał właśnie czerwony piętrus, więc zerwaliśmy się, by pędzić do naszych spraw.

– Do zobaczenia, panie Antoni! – wołaliśmy już w biegu.

– Pędźcie, bo wam ucieknie.

Pędziliśmy, aż wiatr szumiał nam w uszach. Do samiutkiej Wisły.

Na szczęście nie wszystko szło bolszewikom tak, jak sobie zaplanowali. Gdy próbowali sforsować Wisłę pod Maciejowicami, zastawiła im drogę II Dywizja Legionów pod wodzą generała Żymierskiego i zadała klęskę napastnikom. Pan Antoni potrząsał wojowniczo miotłą i wołał donośnie, że pomszczone zostało bolesne wspomnienie Maciejowic – miejsca, gdzie sto lat temu przegraliśmy powstanie kościuszkowskie.

– Hurra! – skakaliśmy z radości.

– No to biegnijcie, bo dzisiaj jeszcze możecie bawić się spokojnie.

Ale kilka dni później jego mina nie wróżyła niczego dobrego.

– Nie mam dobrych wieści – machnął ręką na nasze pytanie o sytuację na froncie. – Nasi dostali baty, a armia bolszewicka gna w stronę Warszawy, aż się kurzy.

Sprawa była na tyle poważna, że rząd skierował do obywateli hasło: „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!”. Zaczął się pobór ochotników. Nie trzeba było nikogo namawiać, bo wszyscy chcieli bronić ojczyzny. Przecież dopiero od dwóch lat byliśmy niepodlegli.

– Lepiej zginąć, niż się poddać i znowu żyć w niewoli! – gorączkowali się starsi chłopcy i szli zaciągnąć się do armii.

Z naszego podwórka poszli wszyscy mężczyźni poza starcami i ślepym Maksem. Poszedł też pan Antoni. Zamienił miotłę na karabin i już nie mieliśmy u kogo zasięgać języka w sprawie zmian na frontach.

– Może i my powinniśmy iść na tę wojnę – zaczął zastanawiać się Mosiek.

– Chyba jesteśmy za mali – wyraziłem nieśmiało wątpliwość, ale mój przyjaciel wzruszył ramionami:

– Co nam szkodzi spróbować.

No, w sumie nic. I tak nie mieliśmy nic ciekawszego do roboty. Wyprawy nad Wisłę przestały być atrakcyjne, bo czerwone piętrusy już nie jeździły po Warszawie. Skonfiskowała je armia, co było dla nas znakiem, że sytuacja jest poważna. Zamiast nad rzekę powędrowaliśmy więc do punktu poborowego. Na wypadek gdyby nas wzięli, zostawiłem mamie kartkę: „Idę na wojnę. Niedługo wrócę”.

Czerwony autobus

Okazało się jednak, że jesteśmy zdecydowanie za mali. Co prawda upieraliśmy się, że mamy osiemnaście lat, ale nas wyśmiali.

– Chyba we dwóch razem – wzruszył ramionami młody porucznik.

Mylił się, bo razem mieliśmy dziewiętnaście lat i trzy miesiące.

– Nie martw się, coś wymyślimy – pocieszał mnie Mosiek. – Łatwo się nie poddamy.

Jasna sprawa, a jeśli się czymś martwiłem, to raczej tym, że mama niepotrzebnie przeczyta moją wiadomość. Na szczęście udało mi się wrócić do domu wcześniej i zabrałem kartkę. Schowałem ją do szuflady, bo mogła jeszcze się przydać. Jak już raz zdecydowaliśmy, że pójdziemy na wojnę, nic nie mogło nas powstrzymać. Spakowaliśmy plecaki, by czekały w pogotowiu na odpowiednią chwilę, bo że taka nastąpi, żaden z nas nie wąpił. Wojna zbliżała się wielkimi krokami i już czuć ją było w powietrzu.

Wałęsanie się po mieście i kąpiele w Wiśle stały się nagle zbyt dziecinne. Obowiązkowym punktem dnia było teraz kręcenie się w pobliżu punktu poboru. Patrzyliśmy, jak przez bramę przechodzą ci, którzy chcą zaciągnąć się do armii. Przyjmowali wszystkich, nawet dziewczyny i kobiety. Tylko nas nie chcieli. Nie traciliśmy jednak ducha. Obserwowaliśmy, jak podoficerowie szkolą poborowych i uczyliśmy się wszystkiego, co przydatne będzie na wojnie: baczność, spocznij, padnij, bagnet na broń.

W sumie nudy. Tylko czasami zdarzało się coś interesującego, jak na przykład, gdy jednemu żołnierzowi wypadł zamek z karabinu i nie umiał sobie z nim poradzić. Młody podoficer podbiegł, żeby pomóc, ale porucznik nadzorujący szkolenie skarcił go:

– Masz pan wydawać rozkazy, a nie mieszać się do ich wykonania. Zajęty głupstwem, nie zauważysz pan czegoś znacznie ważniejszego, co się może w tej sekundzie stać na pana odcinku.

Podoficer skinieniem głowy podziękował za radę, a ja pojąłem, że wojna to nie przelewki. Każdy ma tam swoje zadanie i musi je wykonać najlepiej, jak umie. Zastanawiałem się, co mogłoby być moim zadaniem, ale nie miałem żadnego pomysłu, więc ćwiczyliśmy z Mośkiem na podwórku baczność, spoczniej, padnij i bagnet na broń. A potem z dnia na dzień sytuacja stała się dramatyczna, bo Rosjanie byli już w Radzynie.

– Coś mi się zdaje, że nie ma co czekać, aż ktoś nam pozwoli bronić ojczyzny – powiedział Mosiek. – Jak my pójdziemy na front, wszystko się odmieni.

Kiwnąłem głową, bo też miałem wrażenie, że bez nas nie dadzą sobie rady. I nie było co zwlekać, bo ochotnicze oddziały, które formowano, kierowane już były na przedpola Warszawy.

– Pójdziemy za nimi – zdecydowaliśmy. – Na miejscu nie będą wybrzydzać. Żołnierz to żołnierz. Przydamy się.

Pobiegliśmy po plecaki. Nie musiałem tracić czasu na pisanie kolejnej kartki, tylko wyciągnąłem starą i zostawiłem na stole.

Czekając na Mośka, dowiedziałem się, że oddziałem podglądanym przez ostatnie dni dowodzić będzie porucznik, który nas nie chciał. Twierdził, że jesteśmy za mali na wojnę, a sam też nie wyglą-



Czerwony autobus

dał na dowódcę. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, a nazywał się Stefan Pogonowski. Byłem ciekawy, czy da sobie radę.

– Idziemy do Nieporętu – mówili między sobą poborowi. – I dobrze, bo tamtędy bolszewicy nie pójdą. Z Radzymina skierują się szosą na Jabłonę, gdzie czeka na nich armia generała Żeligowskiego.

Ta informacja psuła mi trochę szyki, bo nie po to szedłem na wojnę, żeby ominęło mnie najlepsze. Zastanawiałem się, czy warto iść z takim oddziałem, który będzie stał na uboczu, i gdy pojawił się Mosiek, zwierzyłem mu się ze swoich wątpliwości.

– Tak po prawdzie, ja na miejscu Ruskich wcale bym nie szedł tam, gdzie na mnie czekają – wzruszył ramionami. – Pamiętasz, co zrobiliśmy, jak chłopaki z Chmielnej zaczęły się na nas w parku?

Jasne, że pamiętałem.

– Zaskoczyliśmy z innej strony – zaśmiałem się. – Ale się zdziwili, co nie?

Przybiliśmy z Mośkiem piątkę, zaśmiewając się na wspomnienie tamtej wspaniałej bójki, z której my wyszliśmy cało, a oni z porzbijanymi nosami.

– Więc sam widzisz, że może być różnie – pocieszył mnie Mosiek.

– A ty gdzie masz plecak? – spytałem, bo dopiero teraz zauważyłem, że wrócił bez niczego.

Mosiek machnął ręką.

– Tato skonfiskował i zabronił iść na wojnę.

– Ale pójdziesz? – zaniepokoiłem się.

– Jasne, że tak – pociągnął nosem i poprawił portki, które, zdaje się, zostały niedawno przetrzepane pasem.

– Baczość! – zawołał właśnie młody porucznik i żołnierze stanęli wyprostowani, szeregi zostały wyrównane. Byli gotowi, podobnie jak my.

Porucznik Pogonowski jeszcze raz sprawdził na mapie kierunek marszu i siadł na koń, dając rozkaz wymarszu.

Ruszyli. Starzy i młodzi, wysocy i niscy, silni i słabi, ale wszyscy tak samo przekonani, że to chwila próby, a oni potrzebni są ojczyźnie. Ku naszej radości dostrzegliśmy pana Antoniego. W mundurze wyglądał trochę dziwnie, ale jego obecność sprawiła, że poczułem się całkiem bezpieczny. Obawy co do losu wojny zniknęły w jednej chwili.

– No to idziemy za nimi – zdecydowaliśmy.

Pył unosił się spod nóg maszerujących żołnierzy, słychać było dźwięk harmonii i słowa wesolej piosenki. Za wojskiem jechały wozy z karabinami maszynowymi i zaopatrzeniem. A na końcu my dwaj. Był to bardzo długi marsz, ale wędrowanie to dla nas nie nowina. Nieraz tak maszerowaliśmy, tyle że zwykle zgodnie z zasadą „gdzie oczy poniosą”. Teraz sprawa była poważniejsza. Wzięliśmy na siebie rolę straży tylnej. W razie czego – my czuwamy.

Po drodze mijali nas kawalerzyści, przemieszczający się szybciej, bo konno. Widzieliśmy też pociąg Czerwonego Krzyża, który czekał na rannych. Jego widok zwarzył nam trochę humory, bo skoro przysłali tak długi, znaczy, że spodziewali się wielu rannych. Zrobiło nam się nieswojo, więc na najbliższym postoju spróbowaliśmy przyłączyć się do żołnierzy. Odszukaliśmy pana Antoniego i przycupnęliśmy przy nim.

Czerwony autobus

– Co wy tu robicie, chłopaki? – spytał zdumiony.

– Idziemy za wojskiem, żeby bronić ojczyzny – wypiął dumnie pierś Mosiek.

– Odpocznijcie, a potem wracajcie do domu, bo matki oczy już sobie wyplakują – powiedział, a inni go poparli.

– Nasze mamy wiedzą, gdzie jesteście, bo zostawiłem kartkę – uspokoiłem wszystkich, ale jakoś nie przekonałem nikogo.

Dali nam chleba i wojskowej grochówki, pozwolili posiedzieć przy ognisku i posłuchać opowieści o bolszewikach. A te były przerażające. Mówiły o ogromnej liczebności ich armii i o tym, że jak szli, to niszczyli wszystko, co napotkali. Wysadzali mosty, zabierali konie, krowy, przeorywali drogi, by polskie auta pancerne nie miały jak przejechać, rozkręcali szyny i zabijali ludzi.

Na szczęście porucznik Pogonowski uciszył tych, co opowiadały najgorsze rzeczy.

– Nie dajcie się zwieść zradzieckim plotkom, że bolszewików jest więcej i nasza obrona nic nie da. Nas jest tyle samo co ich, tyle że oni głośniej krzyczą to swoje „Uraaaa!”.

– Bolszewicy mówią o dzieleniu ziemi – powiedział ktoś. – Niejeden biedak myśli, że będzie lepiej, jak oni wygrają, bo dostanie kawał ziemi za darmo.

Porucznik wstał i oznajmił z groźbą w głosie:

– Kto zostanie złapany na rozpowszechnianiu takich wieści, będzie potraktowany jak zdrajca i powieszony!

Wszyscy zamilkli.

Po odpoczynku pan Antoni machnął na nas ręką.

– No już, chłopaszki, jazda stąd! Wystarczy tej przygody.

Bez miotły nie wyglądał ani trochę groźnie, więc nie posłuchaliśmy. Niestety, od tej pory musieliśmy trzymać się z dala od batalionu. Szkoda, bo razem byłoby milej, zwłaszcza że nadchodził wieczór. Ale szliśmy po śladach, co też było przyjemne, bo to tak, jakbyśmy bawili się w Indian. Dogoniliśmy naszych, gdy na nocny odpoczynek rozłożyli się pod lasem. Drogowskaz mówił, że to Wólka Radzymińska. Było ciemno, więc mogliśmy podkraść się na tyle blisko, by widzieć karabiny ustawione w kozły i dymiącą kuchnię polową. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem myśleć o niczym poza snem. Mosiek znalazł stóg siana i zaciągnął mnie tam. Człapałem za nim, zastanawiając się, czy nie posłuchać jednak pana Antoniego i nie wrócić do domu. Miałem zamiar spokojnie porozmyślać o tym na leżąco, ale nie zdążyłem, bo od razu zasnąłem.

Obudziło mnie burczenie w brzuchu. Nie wiem, w którym głosniejsze: moim czy Mośka. On musiał być głodniejszy, bo wziął na siebie rolę zaopatrzeniowca.

– Zdobędę coś do jedzenia – obiecał i poleciał.

Ja miałem czekać.

Niby daleko odeszliśmy, ale gdy stanąłem twarzą w kierunku Warszawy, dostrzegłem w oddali światła. Gapiłem się na nie przez chwilę, a potem poszedłem w krzaki za potrzebą. I nie wiem, jak to się stało, że zabłądziłem. To przez tę ciemność albo zmęczenie, albo burczenie w brzuchu. W każdym razie polazłem nie w tę stronę, co trzeba, a potem ogarnęła mnie panika i skręcałem tyle razy na chybił trafił, że całkiem straciłem orientację. Biegłem jak głupi, wpadałem

Czerwony autobus

na drzewa, odbijałem się i znowu biegłem. W końcu przewróciłem się i dopiero guz na głowie nieco mnie otrzeźwił.

Uspokoilem się i zacząłem nad słuchiwać.

Najpierw nie słyszałem nic. Potem zaczęły docierać do mnie odgłosy lasu, pohukiwanie sowy, trzask gałęzi. W końcu pojawiły się również inne dźwięki. Jakiś szum, ale nie rzeki ani liści, ale jakby głosy wielu ludzi połączone w jeden. Odetchnąłem z ulgą.

– Jest dobrze – mruknąłem do siebie.

Teraz już nad słuchiwałem, skąd dobiega ów szum i kierowałem się w tamtą stronę. Dźwięki były coraz wyraźniejsze i stało się jasne, że są tam ludzie. Miałem ochotę wrzeszczeć z radości, że jestem i wcale się nie zgubiłem, ale gdy byłem całkiem blisko, zorientowałem się, że to, co słyszę, to nie nasza mowa.

Zatrzymałem się z niedowierzaniem.

O matko! To przecież nie Polacy, tylko Rosjanie.

Ale tutaj? Na progu Warszawy?

Rozpłaszczylem się na ziemi, żeby mnie nie dostrzegli. Może i byłem za mały na żołnierza, ale wiedziałem jedno – Ruscy tutaj to zły znak. Czyżbyśmy mieli z Mołskiem rację, przewidując, że dywizje bolszewickie wcale nie pójną szosą radzyminską w stronę Jabłonny, gdzie czeka polska armia? Potem, gdy było już po wszystkim, dowiedziałem się, że Rosjanie ruszyli co prawda w kierunku Jabłonny, ale w połowie marszu skręcili i skierowali się na południowy zachód, wprost ku Pradze, bo tam nie było nikogo, żadnej obrony. W sumie to dość oczywiste, bo wojna to gra, w której wygrywa ten, kto drugiego wykiwa.

Przez długą chwilę leżałem nieruchomo, słuchając swoich myśli. A one mówiły, że jak wyjdę stąd żywy, powinienem zwiewać, gdzie pieprz rośnie.

Ale jak nie ostrzeżę Moška i pana Antoniego, to do końca życia sobie tego nie daruję – tłumaczyłem swoim myślom.

Gdy głosy się oddaliły, wstałem i pobieglem.

Nie wiem jak, ale trafiłem do swoich. Wydaje mi się, że przez większość czasu nie oddychałem. Odetkało mi płuca dopiero, gdy zobaczyłem polskich żołnierzy. Zacząłem wrzeszczeć:

– Rosjanie! Rosjanie! Są niedaleko!

Ktoś zaprowadził mnie do porucznika Pogonowskiego, a on potraktował poważnie moje krzyki. Popatrzył na plany



i wydedukował to, co my wcześniej z Mośkiem: że w Jabłonnej próżno czekają na atak Rosjan.

Wysłał zwiad, który potwierdził moje słowa.

– Na drodze do Warszawy Rosjanom została tylko jedna przeszkoda w postaci niewielkiej placówki w Kątach Węgierskich. Już ich zaatakowali – meldował zwiadowca. – Nie podchodziłem za blisko, ale słyszałem, że nasi się ostrzeliwiają.

Porucznik Pogonowski aż westchnął z wrażenia.

– Jak polegną, droga do Warszawy stanie otworem – wydusił z siebie. – Rosjanie wejdą tam jeszcze tej nocy.

Wszyscy zdrętwieli.

No to już po wolnej Polsce.

Nikt tego nie powiedział głośno, ale wszyscy tak pomyśleli. Żalodne westchnienia świadczyły, że każdy zastanawia się, co stanie się z rodziną, którą zostawił w Warszawie.

– O mamó! – wyrwało mi się.

Na szczęście porucznik Pogonowski nie wpadł w panikę.

– Prócz nas w tych okolicach nie ma innych żołnierzy – powiedział i choć nie podnosił głosu, był słyszalny, bo panowała cisza. – Tylko my możemy odciągnąć atak na Kąty Węgierskie i wziąć go na siebie.

Batalion zebrał się raz-dwa i ruszył w kierunku Kątów. My z Mośkiem z nimi, bo nikt nie zwracał na nas uwagi. Gdy dotarliśmy, placówka jeszcze się broniła, choć większość żołnierzy już nie żyła. Groza sytuacji dotarła teraz do każdego. Oto jeden batalion musiał stawić czoła całej armii. Czy da radę?

– Podejmiemy walkę – zdecydował bez chwili wahania porucznik Pogonowski. – Uderzymy i będziemy powstrzymywać napór, póki nie nadejdzie wsparcie. Czeka nas ciężka noc, ale musimy ją przetrzymać. W naszych rękach wolność ojczyzny.

Do sztabu generała Żeligowskiego w Jabłonnej wysłał posłańca.

– Tylko spraw się dobrze, bo od ciebie zależy los nas wszystkich.

– Rozkaz, panie poruczniku! – stuknął obcasami żołnierz i nie zwlekając, ruszył w drogę.

– A wy do domu, jazda! – krzyknął Pogonowski do nas.

W innych okolicznościach pewnie byśmy się buntowali, ale słysząc terkotanie karabinów maszynowych, uznaliśmy, że chyba naprawdę wystarczy nam tej wojaczki.

– Tak jest, panie poruczniku!

Był środek sierpniowej nocy, którą rozświetlały tylko gwiazdy i serie karabinów maszynowych. W pewnym momencie niedaleko nas rozległ się huk. Przewróciłem się, a leżąc, pomyślałem, że pewnie trzasnęła mnie bomba i jestem w niebie. Ale wciąż miałem na sobie portki z dziurą na kolanie, w niebie przecież byłbym goły albo daliby mi nowe spodnie. Więc chyba to jeszcze nie niebo. Cokolwiek wybuchło, ocalałem. Mosiek też gramolił się z rowu. Za to posłaniec miał dziurę w głowie. Jeszcze nigdy nie widziałem trupa. Wpatrywałem się w niego z fascynacją, póki Mosiek mnie nie odciągnął.

– Teraz tylko my możemy to zrobić – powiedział, ale nie zrozumiałem co, bo nie słyszałem go za dobrze.

– Co? – spytałem, ale nawet mój własny głos dochodził do mnie z oddali.

Czerwony autobus

– Zanieść wiadomość do sztabu! – wrzasnął Mosiek.

– Jaką wiadomość? – dopytywałem, bo ciągle byłem oszołomiony.

W końcu potrząsnął mną.

– Musimy biec do Jabłonny, by przekazać wiadomość! Inaczej wszyscy zginą, i pan Antoni też!

Ostatni argument trafił tam, gdzie powinien, czyli do mózgu. W jednej chwili odzyskałem jasność myślenia.

– Tak – kiwnąłem głową. – Jasna sprawa. Oczywiście.

– Ruszajmy więc! – zawołał Mosiek.

– Tylko gdzie ta Jabłonna? – spytałem, rozglądając się w ciemności.

Żaden z nas nie miał bladego pojęcia, w którą stronę należy iść. W ciągu dnia łatwo wędrować, bo widać drogę, a w razie czego można pytać napotkanych ludzi, ale teraz była głęboka noc, a my byliśmy tylko przestraszonymi dziećmi. Jednak stać i płakać też nie było co. Pobiegliśmy. Najpierw polami, trzymając się blisko jeden drugiego. Potem wrócił nam rozum i rozdzieliliśmy się. W ten sposób zwiększyliśmy szansę, że któryś z nas trafi tam, gdzie trzeba.

Zostałem sam i co tu dużo mówić, jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak przerażony. Znalazłem jakąś drogę i szedłem nią w nadziei, że doprowadzi mnie do ludzkich siedzib. I tak się stało. Trafiłem na chałupę. Zacząłem dobijać się do drzwi.

– Którędy do Jabłonny?! – darłem się.

Otworzył mi zaspany chłop w gaciach, ale gdy powiedziałem, co się dzieje, zbudził się w mig. Słysząc było zresztą wyraźnie ka-

nonadę spod Wólki Radzywińskiej. Była pierwsza w nocy i porucznik Pogonowski zaatakował bolszewików ogniem karabinów maszynowych, wywołując wśród nich popłoch.

Chłop, nie zwlekając, zaprzął konia do wozu, załadował dzieci, żonę i mnie. Strzelił z bata, a że koń znał drogę, więc mimo ciemności ruszył żwawo.

Tymczasem w Jabłonnej generał Żeligowski czekał na atak, który nie następował. Przypatrywał się mapie, rozstawiał plutony, gniazda karabinów maszynowych i dział. Co chwila dzwonił telefon i wpływały nowe informacje. Adiutanci od razu nanosili je na mapę, a generał tworzył plan, dostosowany do nowej sytuacji. A gdy telefon przestał dzwonić, pojawiał się niepokój, czy aby linia nie jest uszkodzona.

– Sprawdzić! – padł rozkaz.

Natknęliśmy się na takich, co sprawdzali linię.

– Stać! – krzyknęli i skierowali ku nam karabiny, ale gdy zobaczyli, że na wozie jest gromada wystraszonych dzieci, opuścili je.

– Czy to Jabłonna i sztab generała Żeligowskiego? – spytałem głosem osłabionym z przejęcia.

– A kto pyta? – zakpił jeden z żołnierzy.

– Mam pilne wiadomości od porucznika Pogonowskiego – pisałem.

– Nie znamy takiego – roześmiali się.

– Ruscy są w Kątach Węgierskich i Wólce Radzywińskiej! – powiedziałem, a widząc, że moje słowa zrobiły na nich wrażenie, ryknąłem całą mocą płuc: – Prowadźcie do dowódcy!